











Kiedy byłam drobną, dziewięcioletnią dziewczynką, przydzielono nam mieszkanie w Mieście Milionerów. Do trzypokojowego nowego *domu* (60 m²) wprowadziliśmy się po spędzeniu 1,5 roku w *Wohncontainer* – doraźnym budownictwie przejściowym dla uchodźców i imigrantów, których na początku lat 90. Niemcy Zachodnie już nie miały gdzie mieścić. Ów *kontener mieszkalny* mieścił około 20 rodzin, które to rodziny mieszkały w pokojach o powierzchni 14 m². Kuchnia, toalety i prysznice były zbiorcze. Był też wspólny pokój z telewizorem.

Takie wtedy były nasze realia życiowe i cieszyliśmy się, że w ogóle mamy ten pokój, ponieważ pierwsze 6 tygodni w RFN spędziliśmy w przyszkolnej sali sportowej, gdzie rodziny spały w malutkich boksach – bez drzwi, bez prywatności.

Dopiero niedawno – gdzieś w 2015 roku – zaczęłam sięgać pamięcią do tamtych lat i dostrzegać pewną ciągłość w tym, jak dzisiaj wyglądają moje życie i przestrzeń, w której funkcjonuję. Od dziecka nie cierpiałam kolonii, biwaków i wszelkich wyjazdów o warunkach *polowych*, gdzie trzeba było kąpać się we wspólnych łazienkach, korzystać ze wspólnej toalety i – nie daj Bogini – nocować w pokoju z obcymi ludźmi. To mogło wydawać się nieco *posh* z mojej strony, ale byłam w stanie zaakceptować nawet te kąśliwe komentarze a propos mojego rzekomego snobizmu – byle tylko nie bytować w wyżej wymienionych warunkach.

Dlatego też na pierwszym roku studiów zrobiłam wszystko, aby było mnie stać na samodzielny apartament w akademiku, który niezwłocznie urządziłam tak, aby czuć się tam dobrze i bezpiecznie. – *Dwuosobowy prysznic* – powiedział *Hausmeister* pokazując mi to luksusowe lokum z dużą nowoczesną łazienką. Wiedział, że odwiedza mnie młody mężczyzna i wcale nie wyczuwałam w tej uwadze niczego niestosownego. *Hausmeister* uwielbiał lokatorów i lokatorki królestwa, którym zarządzał. A my uwielbialiśmy Jego.

W 2012 roku zaczęłam rysować swój przyszły dom – dzisiejszy *Crystal Palace*.

Najpierw jednak zastanowiłam się, jak wygląda mój dzień i jak chciałabym, żeby wyglądał on w tym domu. Zaczęłam od kuchni z oknami od wschodu, później były salon od południa i sypialnia z oknami wychodzącymi na zachód – wiadomo. Na tamtym etapie życia dawałam sobie przestrzeń na to, że nadejdzie jeszcze dzień, kiedy zaproszę na ten świat dzieci. Zaprojektowałam zatem także dwa pokoje dziecięce z oddzielnymi łazienkami tocząc o nie prawdziwą batalię z architektem, który twierdził, że to stanowczo podniesie koszt inwestycji, a przecież jest zupełnie niepotrzebne. Z miłości do *swoich* nienarodzonych – ba, nawet nie poczętych – dzieci uparłam się jednak na te łazienki. Niech mają swoją przestrzeń!

Rysowałam i rysowałam, uwzględniając nasz rytm dnia (wszakże miałam zamieszkać w tym domu z mężczyzną, który korzystał z mojego dwuosobowego prysznica), aż w końcu wyszło mi, że nasz dom ma 480 m².

Architekt zbladł.

9 łazienek?!

– Wiesz, ile to będzie kosztowało?

Wiedziałam. Akurat kalkulacje i obliczenia to moje ulubione zajęcie przed zaśnięciem, więc wstępny kosztorys domu miałam w małym paluszk.

I nic na to nie mogłam poradzić.

No, tyle kosztuje komfort, a ja poniżej komfortu nie zejść, aczkolwiek dążę do luksusu.

1. stycznia 2020 roku minęły cztery lata, odkąd mieszkam w *Crystal Palace*.

Ostatnio rzadko bywam na blogu, a to dlatego, że dzieje się we mnie potężny proces, który został silnie przyspieszony ustawieniem Hellingerowskim, w jakim wzięłam udział 21. grudnia. Oprócz tego, jakby tego było mało, mniej więcej od początku grudnia nadzoruję budowę/remont. Fundacja Sztuka Wolności, której jestem fundatorką i prezeską, otrzymała bardzo dużą darowiznę, którą przeznacza na urządzenie sali warsztatowej oraz domku gościnnego. Mieszczą się one w części *Crystal Palace*, który de facto jest odrębnym budynkiem, połączonym korytarzem z naszym domem mieszkalnym.

Koordynowanie takiego remontu wraz z zamawianiem wszelkich materiałów budowlanych, wyposażenia dwóch (z tych słynnych dziewięciu) łazienek, dwóch zestawów schodów, podłogi dębowej i 5 par drzwi wewnętrznych, a także 2 par drzwi wejściowych wymagało ode mnie skupienia i uwagi, a kiedy przewaliły się największe zakupy i zamówienia, w tym tygodniu zarządziłam tapetowanie i malowanie kuchni. Nareszcie! Tapeta czekała od roku.

Tak więc tam byłam, gdy mnie nie było.

Ale to nie wszystko.

Tuż po powrocie z ustawienia, a dokładnie w trakcie dni obchodzonych w Polsce jako tak zwane Boże Narodzenie, przyszło do mnie niezwykle, cudowne, nowe uczucie.

Był *pierwszy dzień świąt*, gdy na dole Mężczyzna rozpałił w kominku, podczas gdy ja w łóżku gorączkowo przeglądałam Instagram. Było tam mnóstwo zdjęć Kevina samego w domu i w Nowym Jorku oraz tony zdjęć luksusowych willi, wielkich choinek, złotych bombek i wielkich skarpet z prezentami. Przesuwałam palcem po wyświetlaczu i czułam, że moje barki i łopatki coraz bardziej odprężają się i oddają ciężar ścianie działowej ozdobionej tapetą w monstery.

Zeszłam na dół, gdzie ogień już buzował w kominku, położyłam się na skórzanej kanapie – bardzo blisko tego spektaklu, spojrzałam w górę, ku biblioteczce na antresoli. Poczułam się jak w latach 90. To znaczy, poczułam uczucie, które miałam w latach 90. oglądając amerykańskie filmy i wille zamożnych państwa, dla których pracowali moi rodzice i które to wille czasami miałam przyjemność odwiedzać. Niezwykle to było doznanie, bo oto właśnie zakrzywiono czasoprzestrzeń, wymieszano czas i miejsca w wielkim, kosmicznym kotle i nagle drobna dziewięcioletnia dziewczynka znalazła się w *Crystal Palace*, ale to dorosła, nadal drobna, Olga poczuła – *jestem w domu*.

Tyle lat tęskniłam za tą chwilą nie wiedząc w ogóle, że to za nią tęsknię.

Rocket of desire, którą wystrzeliłam w kosmos w latach 90., właśnie wylądowała.

A więc TAK jest, gdy jesteś *ready to be ready* i otrzymujesz to, o co poprosiłaś.

Usuwasz opór i okazuje się, że wszystko już jest wykreowane i czeka na moment, w którym przestaniesz się od tego odcinać. Ja wykreowałam jako dziewczynka i przez tyle lat tęskniłam.

O Bogini!

Zaprawdę powiadam Wam, nie znam piękniejszego uczucia.

Abraham mówi o tym *Sweet Spot* i jest to trafne określenie.

Jest to uczucie najgłębszego zespolenia ze sobą, powrót do duchowego domu, powrót do siebie i najwyższe przyrzeczenie, że odtąd już tylko razem.

Być może stąd pomysł na *małżeństwo*?

Tę nędzną namiastkę zaślubin ze swoją Wewnętrzną Istotą, która nigdy, przenigdy nie zakończy tęsknoty, a może być jedynie pogonią za marchewką, która zawsze pozostanie dalej, niż na wyciągnięcie ręki?

Whatever.

Raport o *małżeństwie* napisany, niech idzie w kosmos, podczas gdy ja przestaję doświadczać.











